Nr. 16. Lwów, 16. sierpnia 1904. Rok XXVII.



Wkładka roczna członka
10 koron
10 marek 5 rubli.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16.
każdego miesiąca.

Nasze drapieżce w locie.

(Pogadanka ornitologiczna).

Żaden ptak nie posiada tak wspaniałego, majestatycznego lotu, jak ptak drapieżny. Potrafi on, raz wzbiwszy się w górę, krążyć godzinami w błękitach, nie ruszając zupełnie skrzydłami. Z innych ptaków naszych, jeden bocian potrafi mu tylko dorównać. Musi on od czasu do czasu zrobić kilka potężnych ruchów skrzydłami, gdy orzeł lub sokół jest wstanie tak krążyć, że wydaje się, jak gdyby na jakiejś niewidzialnej nitce u błękitu wisiał i tylko łagodnym wiatrem chwiany, zataczał ogromne koła.

Ta własność krążenia w przestworzach, bez ruchów skrzydłami u niektórych ptaków nie dawała i nie daje spokoju uczonym—tak ornitologom fizykom—jak i marzycielom, co chcą, dające się kierować balony wynaleść. Humboldt twierdził, że olbrzymi kondor może się tak długo unosić w przestworzu i nieruchomo krążyć dzięki prądom ciepłego powietrza, które z pod jego pierza wychodzą i które go unoszą, gdy w wysokich a więc zimnych przestworzach się znajduje. To twierdzenie zdaje się być poniekąd słusznem, gdyż powietrze w próżnych kościach ptasich musi mieć tę samą temperaturę ciepłą, co i ciało ptaka i jako takie ułatwia mu bujanie w zimnych regionach na tem samem prawie, na jakiem balon papierowy z nasyconą spirytusem i zapaloną gąbką, do góry się wznosi.

Jeżeli, jak twierdzi pewien niemiecki ornitolog, weźmiemy na uwagę, że litr powietrza przy 40° Cel. (temperatura ciała u ptaka) waży 1·25 gm. a przy 10° Cel. waży

1·48 gm. to już mamy różnicę 0·23 gm. Ale ptak, tak twierdzi ten uczony, rozgrzewa także i powietrze go otaczające, które jako cieplejsze, także się z nim wznosi, lub go na sobie utrzymuje. Moglibyśmy więc porównać to, w kościach i pierzu ptaka znajdujące się powietrze, z powietrzem zamkniętem w pęcherzu, jaki ryby posiadają, a który im pozwala pływać w wodzie w dowolnej głębokości.

Jak więc widzimy, hipoteza Humboldta nie jest czczą fantazyą, ale ma wiele w sobie prawdopodobieństwa, gdy się zważy jeszcze, że tylko te ptaki mogą mieć zdolność do biernego krążenia, które wzbijają się bardzo wysoko a więc w regiony zimne.

Jednakowoż to ogrzane powietrze, w korpusie ptaka się znajdujące, nie może być jedynym warunkiem i podstawą zdolności biernego szybowania. Potrzeba do niej jeszcze pewnej temperatury w atmosferze, pewnej siły wiatru i pewnego stosunku ciężaru korpusu ptaka do rozpiętości jego skrzydeł. Gdy cisza zupełna, lub wiatr silny, żaden ptak szybować nie może, nie potrafi nigdy szybować jastrząb gołębiarz ani krogulec, gdy umieją świetnie to wykonywać kanie, myszołowy, orły, sępy i niektóre sokoły.

By ptak mógł biernie krążyć, potrzebny mu jest do tego pewien opór powietrza. W tej powolnej walce, jaka się między ptakiem a wiatrem wywiązuje, wykonywa tenże bezwiednie drogę w linii krzywej, którą stosownymi obrotami zamyka w koło. Koło jest większe lub mniejsze, zależnie od siły wiatru, wielkości i ciężaru ptaka. To kołowanie, jakiego w tych warunkach ptak dokonywa, możnaby porównać do drogi, jaką wykonywują konie w noc zimową, wśród zadymki, gdy bezwiednie zakręcają od wiatru a podróżny błądzi i na tej samej mniej więcej przestrzeni do rana nieraz kołuje.

Opór powietrza działa przedewszystkiem na spód ptaka i im ptak ma dłuższe skrzydła w stosunku do długości osi swego ciała, tem łatwiej opór ten opanować potrafi. Przy krótkich skrzydłach opór powietrza działa więcej na tylną połowę i ogon rozpiętego ptaka, przez co oś korpusu ku głowie się obniża, tak że głowa i przednia część ciała idą ku dołowi a tylna z ogonem do góry. Ptak nie chcąc do tej niewygodnej pozycyi korpusu dopuścić, musi z częsta bić skrzydłami powietrze (jak to np. czyni krótkoskrzydły jastrząb gołębiarz) i przez to zyskiwać potrzebną równowagę, inaczej by głową na dół koziołkować musiał. Wypowiedzieć więc możemy stanowcze twierdzenie, że tylko ptaki opatrzone w długie skrzydła, mają zdolność do biernego szybowania w wysokich przestworzach, gdyż są w stanie przy miernym wietrze opanować przychodzący z dołu nacisk powietrza.

Przypatrzmy się teraz kolejno naszym zwykłym drapieżcom, bujającym w powietrzu. Mają one tak charakterystyczne i odmienne sposoby lotu, że łatwo po nich rozpoznać ich odmiany na wielką odległość, nie widząc koloru ich upierzenia.

Gdzieś nad polami lub lasem, na tle czystego błękitu buja duży ptak tak wysoko, że wydaje się małym, czarnym punktem. Szybuje długo, godzinami, to wznosi się, to zniża; lot ma równy, spokojny. To bezwątpienia kania czarna (Milvus ater) ptak drapieżny i szkodliwy. Łatwo ją poznać po klasycznie równym locie, długim widlastym ogonie i ciemnem upierzeniu.

Nad zielenią ozimin, lekko już przyprószonych śniegiem, buja ptak inny. Lśni do słońca jaśniejszem, płowem pierzem, krąży machając skrzydłami, czasem w jednem miejscu przez chwil kilka wisi — to również jak kania, drapieżny myszołów zwyczajny (Buteo vulgaris).

Po nad wsią przelatuje płowy ptak dość nisko. W oczy wpadają jakby za krótkie skrzydła, któremi rytmicznie co kilka chwil porusza. To napewno nasz jastrząb gołębiarz (Astur palumbarius) rabuś nieustraszony, postrach kuropatw, drobiu i naszych gospodyń.

Nad ściernią niskopłynnym lotem przelatuje nieduży jastrząbek, bardzo do gołębiarza podobny. Zmykają przed nim jaskółki, kryją się w brózdy skowronki i przepiórki, to jastrząb krogulec (Accipiter nisus).

Tam znowu, gdzieś nad lasem krąży inny ptak drapieżny, większy lub mniejszy, płowy lub rdzawy. Po jego szybkim bardzo i spokojnym locie, po długich, wąskich skrzydłach i zamkniętym wąskim ogonie poznać łatwo, że to któryś z szlachetnych sokołów. Więc jeżeli jest wielkości gołębiarza, to z pewnością król naszych sokołów, sokół wędrowny (Falco peregrinus), jeżeli mniejszy, to będzie sokół kobuz (Falco subbuteo) a jeżeli całkiem mały, to śliczny, zgrabny ale bardzo drapieżny sokół drzemlik (Falco aesalon). Poznać go łatwo po spokojnym niskim locie i po wąskich, jak szable wygiętych skrzydłach.

Jeżeli w pobliżu domostw, lub niedaleko od lasu zobaczymy małego jastrząbka, ciągle w jednem miejscu krążącego i często na ziemi lub drzewach siadającego, albo w jednym punkcie często się przy ustawicznym ruchu skrzydeł pławiącego w powietrzu niewysoko nad ziemią, to będziemy mieli przed sobą więcej pożyteczną, niż szkodliwą pustułkę wieżową (Cerchneis tinuncula).

Nad stawami spotykamy niewysoko nad oczeretem bujającego, dużego ciemno kasztanowatego jastrzębia stawowego (Circus rufus), a nad mokremi łąkami na wiosnę i w jesieni kilka gatunków, nie dużych jasnosiwych błotniaków (Circus).

Na koniec wymienić jeszcze wypada, że do rozpoznawania ptaków drapieżnych w locie trzeba pewnej wprawy i wiadomości ornitologicznych, gdyż wiele ich gatunków zmienia upierzenie stosownie do wieku, jak też i dla tego, że rozmaite ich odmiany w rozmaitych okolicach tylko w pewnych porach roku przebywają.

Albert Mniszek.



Ile jest kozic w polskich Tatrach?

W korespondencyi z daty Wysuczka 30. grudnia 1903, umieszczonej w „Łowcu“ strona 21. i 22. pisał J. W. Czarkowski-Golejewski, że kozica na naszej stronie należy do rzadkości i że za czasu jego pobytu w Nowotarszczyźnie było policzonych 6 sztuk, dalej pisze mówiąc o Zakopanem, tam dzisiaj głuszec rzadkością. Ażem podskoczył z oburzenia, czytając to, czekałem jednak cierpliwie z odpowiedzią, prosiłem hr. Zamoyskiego, oraz Witołda Uznańskiego o zbieranie przez zimę odpowiednich dat do obliczenia ilości kozic i dopiero teraz, mając już całkiem dokładne dane, odpowiadam.

Że odpowiadam, to przedewszystkiem uważam to za mój obowiązek jako delegat na powiat nowotarski, bronić dobrej sławy łowieckiej naszych Tatr, a powtóre powołuje się J. W. korespondent na swe stanowisko, jako

starosta w Nowymtargu i na pobyt w Zakopanem, nadaje to korespondencyi charakter pół urzędowy i może wprowadzić w błąd ludzi, którzy to przeczytają. Właśnie stanowisko starosty przeszkadza do dowiedzenia się prawdy a dodatek o skórze z kozicy, przyniesionej przez kłusownika, tłómaczy główne pochodzenie tych informacyi. W to, że góral nie strzela kozic na polskiej stronie tylko na węgierskiej, uwierzy oprócz szanownego korespondenta prawdopodobnie jeszcze jaki warszawiak, ale nikt ze stosunkami łowieckimi w Tatrach obznajomiony, na to się nie zgodzi. Kłusownik tam idzie po kozicę, gdzie ją najłatwiej, najdogodniej i najbezpieczniej dostać może. Jeżeli się już wybierze na węgierską stronę, to w najrzadszych wypadkach do księcia Hohenlohego a to z następujących powodów. Książę Hohenlohe jest sam myśliwym, na kozice dosyć dużo poluje i ma dużo i dobrze zorganizowanej służby łowieckiej, dalej rewir jego jest od Zakopanego bardziej odległy i dlatego mniej przez nieproszonych gości nawiedzany. Jeżeli już kłusownicy idą na Węgry, to idą przedewszystkiem w górne części rewirów Szczerba i Podbańska, które są gorzej pilnowane a przeważnie gospodarują na polskiej stronie, bo tu kozice są najmniej pilnowane, co zresztą każdy zrozumie, bo kozica nie przedstawia dla żadnego z właścicieli wartości jako zwierzyna łowna, innej zwierzyny nad granicą drzewostanów prawie że nie ma a więc nie ma tam czego pilnować.

Jak zaś trudno jest złapać kłusownika w Tatrach, to o tem tylko ci, którzy z tem mają wciąż do czynienia, mogą mieć pojęcie i trzeba mieć znaczną ilość straży, aby módz się skutecznie przed kłusownictwem obronić. Właściciele rewirów tatrzańskich już i tak bardzo dużo robią, że wogóle kozic pilnują i tak hr. Zamojski jak i pan Uznański, mają oprócz dbałości o tę ozdobę Tatr, to na względzie, że ustawa o tak zwanej bezwzględnej ochronie kozic zostanie zniesioną i mieliby całkiem słusznie, gdyby nie mając prawa polowania na kozice, wcale ich nie pilnowali. Jak kozica będzie u nas zwierzyną łowną, to jej inaczej będą pilnowali i karmili przez zimę.

Zgadzam się z zapatrywaniem, że kozica jest zwierzyną płochą i stara się unikać bliskości utartych szlaków, zwiedzanych przez turystów, jednak i na węgierskiej stronie turyści chodzą i tylko jeden Hohenlohe robi w zwierzyńcu trudności a mimo to kozice są. Krzyku się kozica mało boi i mogą sobie juhasy hukać, ile chcą i śpiewać, to kozic nie wypłoszą, byle nie mieli w pniach drzew ukrytych strzelb i nie polowali na kozy. Bydło i owce odbierają kozicom pożywienie, pozostanie jednak jeszcze dosyć miejsc niedostępnych, gdzie kozicom trawy wygryść nie mogą. Że kozice bardziej się trzymają i trzymać będą na węgierskiej stronie, to jest całkiem słuszne zapatrywanie. Przyczyną tego jest bujniejszy porost traw, mniej bydła a przedewszystkiem położenie południowe.

Lecz wracam do tego, co najbardziej razi w korespondencyi, to jest do tej fatalnej liczby 6 kozic w całych Tatrach na naszej stronie. Jak już wspominałem, zależało mi bardzo na pewnem obliczeniu ilości kozic i przy pomocy właścicieli i zarządów, oraz straży dóbr Zakopane i Poronin, obliczyliśmy ilość kozic w zimie 1904. Że wybraliśmy zimę, to tylko dlatego, że przedewszystkiem jedynie w zimie można dokładniej podzielić kozice na polskie i węgierskie, bo schodzą na dół, podczas kiedy wszystkie, które w lecie trzymają się granicznych wierzchów, przechodzą wciąż zależnie od wiatru i paszy z polskiej na węgierską stronę i nie można ich dokładniej oznaczyć. Dalej w zimie kozice bardzo dobrze można policzyć, bo je daleko widać. Że rachuję w zimie, to tylko na naszą niekorzyść wypada, bo więcej kozic schodzi na węgierską stronę niż na naszą, tam prędzej śnieg ginie i więcej paszy mają.

Od zachodu na wschód licząc, jest absolutnie pewna minimalna ilość, za którą wszelką gwarancyę przyjmujemy.

Rohacze	15
Tomanowa	20
Kraków	50
Giewont i Mała Łąka	30
Strążyska	20
Kasprowa	30
Koryzne i Pańszczyca	50
Wołoszyn	40
Czuba i Miedzane	20
Żabie i Morskie oko	20
razem	305

czyli nie mniej, jak 50 razy tyle, co miało być według zdania korespondenta.

A teraz co do głuszców, tych nie liczyłem i możnaby to dopiero teraz na tokowiskach zrobić. Odpowiem tylko, że na jednem tylko tokowisku Szuwarowe, między Kościeliskami i Małą Lalką strzela się rok rocznie około 5 głuszców, ja sam zabiłem na tem jednem tokowisku już 3 a dopiero 26. kwietnia 1904 ostatniego. Przyjechałem na jedną noc, 25-go wieczór. Jednego głuszca spłoszyłem wieczór na zapadzie, jednego rano spudłowałem a jednego zabiłem (głuszce strzelam tylko kulą), to zdaje mi się wystarczająca odpowiedź na „rzadkość".

Ważniejsze tokowiska głuszców w Tatrach są w Witowie, Kulowcu, Kominach, Jaworzynie, Kościeliskach, Suwarowem, Łysonkach, Grzybowcu i Ornaku w Poronińskiem, Pańszczycy, Palenicy, Kopach, Kondratowej, Ostrym wierchu w rewirze Zaradnia, Czuba. Oprócz tego są jeszcze koło każdego z tych główniejszych tokowisk, tokowiska boczne, których w tym rachunku wcale nie wymieniam.

Dla oryginalności przytoczę tu zdanie niejakiego Schwaba, który był starszym gajowym w Kościeliskach i napisał w korespondencyi, zamieszczonej w Waidmannsheil, że w Kościeliskach jest głuszców jak wron a tu znowu czytam, że głuszec należy do rzadkości.

Przepraszam najmocniej naszego J. W. wiceprezesa, że muszę się sprzeciwić jego zdaniu, ale mam nadzieję, że jako prawdziwy myśliwy nie weźmie mi tego za złe, że staję w obronie prawdy i słusznej sprawy, tem bardziej, że jako delegat nowotarski jestem obowiązany dać odpowiedź.

Dr. Jan Zduń.



W sprawie ochrony łowiectwa.

By dać dowód, jak w powiecie przemyskim czuwają nad ochroną łowiectwa, podajemy poniżej fakta, jakie niedawno do naszej wiadomości doszły. Mianowicie dzięki energii c. k. żandarmeryi, wyłapaną została w krótkim czasie od kilku lat operująca banda kłusowników, na której czele stał żyd Kalman Rotenstreich, któremu tej kradzionej zwierzyny dostarczano a którą on handlował. Sprawa cała miała przed kilku tygodniami swój epilog w sądzie karnym przemyskim, względnie w sądzie apelacyjnym we Lwowie, gdyż

skazani prawie wszyscy rekurowali. I z przyjemnością konstatujemy, że sądy traktowały sprawę tę bardzo surowo i można mieć nadzieję, że kary te, które tu poniżej podajemy, oddziałają odstraszająco na amatorów wolnego polowania i cudzej zwierzyny.

Należy się też szczere uznanie c. k. żandarmeryi przemyskiego powiatu a szczególnie żandarmowi Ludwikowi Lewickiemu, który swym sprytem i niezmordowaną pracą głównie do wykrycia tej zbrodniczej bandy się przyczynił.

Z członków tej, oddawna operującej około Przemyśla spółki, skazani zostali:

Michał Michalewski, l. 36 liczący, z Wapowic, za zabicie 3 kóz i 1 rogacza i niedozwolone noszenie broni, na 3 miesiące ciężkiego więzienia, obostrzonego raz na tydzień postem i co 14 dni twardem łożem.

Seńko Dłubończyk, lat 36 liczący, z Kuńkowiec, za zabicie 8 sarn i 2 zajęcy i za ukrywanie skradzionej przez innego zwierzyny, na 3 miesiące ciężkiego więzienia, tak samo jak wyżej obostrzonego.

Fedko Fedorko, l. 38 liczący, z Bełwina, za zabicie kozy i rogacza na miesiąc aresztu.

Oleksa Kondrak, l. 39 liczący, z Bełwina za zabicie 3 rogaczy (względnie kóz) i 1 zająca, na 2 miesiące ciężkiego więzienia, obostrzonego jak powyżej.

Michał Rybak, l. 46 liczący, z Krasic, za wspólnictwo w kłusownictwie, za zabicie 2 wydr i niedozwolone noszenie broni, na 4 miesiące ciężkiego więzienia, obostrzonego jak powyżej.

Paweł Bocul, lat 40 liczący, z Nahurczan, za zabicie sarny i wydry i niedozwolone noszenie broni, na 2 miesiące ciężkiego więzienia, obostrzonego jak powyżej.

Władysław Błoński, lat 36 liczący, z Reczpola, za zabicie 8 sarn i 6 zajęcy, na **półtora roku** ciężkiego więzienia, obostrzonego postem raz na miesiąc.

Tadeusz Kijanka, lat 36 liczący, z Huty brzeskiej za zabicie 2 sarn i 3 zajęcy, oraz nieprawne noszenie broni, na 3 miesiące ciężkiego więzienia, obostrzonego raz na tydzień postem i co 14 dni twardem łożem.

Kazimierz Muszakiewicz, lat 17 liczący z Przemyśla, za przechowywanie kradzionej zwierzyny na miesiąc ciężkiego więzienia.

Kalman Rotenstreich, lat 38 liczący, z Niżniowa, za uczestnictwo w kłusownictwie i handlowanie kradzioną zwierzyną, na 8 miesięcy ciężkiego więzienia, obostrzonego raz w tydzień postem i co 14 dni twardem łożem.

Wszyscy skazani zostali nadto na zwrot szkody właścicielom, licząc za sarnę 12 K, a za zająca 2 K 40 h., i ponoszenie kosztów postępowania karnego.

Ten sam c. k. żandarm Lewicki wyśledził i drugą bandę kłusowników, złożoną z 8 osób, operującą w okolicy Krzywczy i Babic, co do których obecnie sądowe śledztwo się toczy a o którego wyniku nie omieszkamy donieść.

Delegatów naszych upraszamy, by zechcieli się postarać u swoich władz politycznych, by fakta powyższe w interesie powszechnego dobra w gminach ogłosiły, jak również prosimy o to pp. Starostów, którzy są członkami i przyjaciółmi naszego Towarzystwa.



Jelenie, ryś, dziki.

Przed dwoma miesiącami w lasach nawojowskich zjawił się jeleń, — który w tym samym czasie bawił tu roku zeszłego. Owsy zasiane w zrębach, zwłaszcza w rewirze II. (Barnowiec) wypasł do połowy. Zeszłego roku bawiła w lasach okolicznych, jak się okazało, para. Z tego w lasach należących do probostwa w Muszynie ubito łanię. Twierdzono, że postrzelono — lecz któż i gdzie strzelił? Para ta jeleni przebywała częścią w lasach nawojowskich — częścią w ryterskich — będąc tu i tam ochranianą i szanowaną. Skąd przyszły, nie wiadomo. Obecnie przemieszkuje rogal czternastak.

Ciekawa rzecz, czy w roku przyszłym zjawi się znowu, pojedynczo, czy też więcej sztuk. Równocześnie z jeleniami zjawił się od miesiąca w lasach ryterskich i nawojowskich ryś duży, stary i zaczął swoje niecne rabuśnicze rzemiosło uprawiać po swojemu, napadając i tępiąc sarny. Dotychczas znaleziono w lasach sąsiednich, ryterskich i nawojowskich 6 sztuk, które zginęły od tego drapieżnika. Nastawiamy więc żelaza i chodzimy wieczorami i rankami na zasiadki. Jak się dowiedziałem w lasach ryterskich w ciągu lat kilkunastu złapano w żelaza 14 sztuk tych rabusiów.

W celu tępienia dzików, których w tutejszej okolicy znacznie się namnożyło, urządzaliśmy kilkakrotnie obławy i przez c. k. Starostwo w Nowym Sączu tudzież w Grybowie zarządzone one zostały wskutek skarg, wnoszonych przez włościan z powodu znacznych szkód, wyrządzanych w polach, zasiewach i przez zarząd dóbr nawojowskich. Obławy takie urządzane zwłaszcza w porze letniej, kończą się niczem t. j. nie ubija się ani jednego dzika. Znam już obławy takie od lat kilkunastu, zwykle bez żadnego rezultatu.

Przyczyny, mojem zdaniem należy szukać w tem, że po pierwsze nie można oznaczyć dokładnie miejsca, w którem dziki w dniu obławy przebywają, gdyż jak wiadomo, zwierz ten prowadzi koczownicze życie. Z tego powodu poluje się w jednej części lasu, ewentualnie w jednym miocie, gdy na krzyki nagonki z drugiego miejsca dziki uchodzą. Trafi się zaś, że weźmie się miot, w którym dziki leżą i które nagonka ruszy, to po największej części przedrą się przez nagonkę w tył i uchodzą dalej raz już ruszane, albo uderzają w bok, gdzie nikt nie stał na stanowisku, mając wyborny węch i wzrok.

Mojem zdaniem należałoby tępić dziki całą forsą tylko za pomocą tropienia w porze zimowej, przy dobrej ponowie, gdy tylko się zjawią dziki gdziekolwiek, przedewszystkiem używać do polowania zamiast nagonki, psów, które zaprawiać należy przy każdej sposobności do tropienia. Psy, dobrze wyćwiczone dają prawdziwą przysługę i roskosz myśliwym.

W ciągu mej kilkunastoletniej praktyki łowieckiej, przekonałem się, że różne rasy psów dadzą się ułożyć i zaprawić do tropienia i łowów.

W czasie jeszcze mej praktyki, mieliśmy psa legawego rasy niemieckiej, gładka sierć, brunatny, silny, którego wybornie ułożyliśmy do tropienia i polowania na dziki, bądź to w porze zimowej po śniegu, bądź w lecie lub jesieni.

Przy psie tym, który nawet za postrzałkami szedł milami i dziki dwa postrzelone przezemnie, doszedł na

czarnej stopie i dawał znać głoszeniem, ubiliśmy sztuk dwadzieścia kilka.

Również po paru latach miałem psa rasy mięszanej po psie seterze a suce gończej, średniej wielkości i sierci jak u seterów długiej, jedwabistej, który wybornie dał się ułożyć do tropienia dzików, toteż zginął na tym posterunku.

Na dowód, jaka jest różnica polować z psami dobrymi a zwłaszcza w górach, na terenie nierównym a obławą, przytoczę tu fakt następujący:

Zarządzając lasami przed kilku laty w powiecie dobromilskim, w dobrach i lasach, należących do pana Tyszkowskiego, byłem na dwóch obławach, zarządzonych przez c. k. Starostwo w Dobromilu w lasach kameralnych z powodu skarg włościan okolicznych na szkody, zrządzane przez dziki. W obławie tej brało udział około 400 ludzi, tudzież 20 strzelców.

Rezultat był taki, że przepłoszywszy tylko niepotrzebnie sarny i dziki z miejsca na miejsce, nie zabiło się nic. Tymczasem już zacząwszy od jednego, zaprawiłem i wyćwiczyłem ze strażą leśną 5 psów, rasy rozmaitej, bo i gończych i zwykłych kundysów i legawych, — z piątką tą i strażą leśną, ubiłem sam w ciągu lat dwóch, polując na każdym ponowie, 43 sztuk dzików. Z psami tak zaprawionymi, można i porą letnią dobrze polować na dziki.

Lato tegoroczne sprzyjało rozmnoży zwierzyny, oraz ptactwa, widuje się więcej, niż w ciągu lat ostatnich, jak przepiórki i kuropatwy.

W zrębie otwartym, zachwaszczonym wierzbówką wąskoliściową, znalazłem 4 sztuki słonek, dopiero wyklutych.

Zajęcy widuje się więcej, sarny spotykałem kilkakrotnie, prowadzące po dwoje młodych.

Nawojowa, w lipcu 1904. *F. L.*



Z obcych światów.

Łowy na dziki w południowem Maroku.

Nie więcej jak dwadzieścia mil na północny wschód od Mogadoru, malowniczego miasta marokańskiego sułtana, leży nasza szczęśliwa dolina „Ain el Hajjar“. Zaledwie można sobie wyobrazić roskoszniejszy kontrast od tego, który przedstawia nagły przeskok z piasczystego pustkowia wzdłuż wybrzeża morskiego, do tego morza zieleni.

Nasze namioty rozbiliśmy wśród gaju granatowego, w cieniu ogromnych oliwnych drzew.

Kryształowa woda, rozlana w niezliczonych potokach, podsycanych strumykiem, który dał nazwę całej dolinie „Rill of pebbles“ (strumyk niosący krzemienie), płynie ze wszech stron, tłómacząc jasno bujną wegetacyę tego miejsca. Powietrze przesiąkłe wońmi wczesnego lata, wonią dzikiego tymianku i rezedy, werbeny i wreszcie gromady ziół, przypominających zapachem nieodzowną zieloną herbatę, napój narodowy naszych murzyńskich gospodarzy.

Zaczynam rozumieć, dlaczego mężczyźni doliny Ain el Hajjar nigdy nie przykładają rąk do roboty, którą mogą wykonać kobiety, lub dzieci. Wszak żyć to dość. Co innego zupełnie, gdy idzie o zabawę, to też rzuconą przezemnie myśl, by posłać po mego starego towarzysza, Jdrisa, tropiciela dzików, przyjęto przez aklamacyę. Wysłano bezzwłocznie posłańca do jego farmy, odległej kilka mil, z prośbą, aby łaskawie objął przewodnictwo nad naszą jutrzejszą wyprawą.

W południowem Maroku nie znają w praktyce t. zw. „pig-sticking“, bardzo modnego sportu, kultywowanego w Tangerze; przelotny rzut oka na żłobione stoki gór żelazistych przekona każdego, że nawet najlepszy jeździec nie da sobie rady ze zwierzyną na koniu. Polowanie nasze zatem posługuje się bądź tropieniem, bądź naganką. Co do przewagi luf gładkich, względnie ciągnionych — zdania są podzielone.

W gąszczu, w którym się ma sąsiadów, jest ostatnia bezpieczniejszą dla otoczenia — lecz wyrzec się odległego strzału tylko dla braku broni, mogącej wytrzymać konkurencyę, to chyba może przyprawić o rozpacz.

W łowach na dziki, dobry, stary „Martini-Henry“ rozstrzyga o zwycięstwie i raczej położy dzika, niż „Lee-Metford“, lub Mauser.

Towarzyszem moim na tej małej wycieczce jest mój gospodarz, murzyński gentelman, którego nazywają „ćwiczonym w koranie“, gdyż umie go w całości na pamięć.

Pomimo tych kwalifikacyi jednak i mimo jak najczęściej praktykowanych, rytualnych obmywań, jest on klasycznem przeciwieństwem muzułmańskiego gentelmana na punkcie „savoir-vivre'u“.

Lubi wszelkie ćwiczenia do tego stopnia, że nawet da się namówić do przechadzki; przenosi małe kółko Europejczyków nad liczne towarzystwo murzyńskie; zaciąga się dymem papierosów z Bastos, i połyka — choć nader umiarkowanie — zabroniony przez koran, europejski rum.

Kombinacya ta przedstawia się tem jaskrawiej, że jest „świętym“, inaczej mówiąc, że jest potomkiem rodziny, znanej rozgłośnie w całem Maroku ze swego fanatycznego przywiązania do wiary.

Wczesne wstawanie przynosi szczególną nagrodę w tym kraju o palącem świetle i hebanowych cieniach. Piękne są wprawdzie żarzące się barwy przy zachodzie słońca, lecz miękkie tony barw, występujące w magicznych momentach między brzaskiem a wschodem słońca, są bez porównania więcej urocze.

W tych chwilach góry i doliny, gaje i łąki odsłaniają, drżąc ze wstydu, najpowabniejsze wdzięki swych kolorów i kształtów z poza przejrzystej zasłony mgły.

Boginki nocy pozostawiły ślad swej elukubracyi, tkankę pajęczą, która drżąc w morzu światła, jakoby rozlanego przez pryzmat, łączy krzaki, spaja drzewa.

Pajęczyną nazywają to Nazarejczycy, my możemy o tem coś więcej powiedzieć. Bo jeżeli aniołowie upodobali sobie kształty pajęcze, by uwić zasłonę przed jaskinią, w której posłannik Allaha szukał schronienia przed wrogami — to dlaczegoż mielibyśmy rozpraszać te wierzenia?

Ziemia, wskutek skrzącej się rosy na łąkach i w gajach, pachnie daleko słodziej; nawet niebo spokojniejsze.

Czyż w tem codziennem wytchnieniu dla życia w około nas nie czujemy więcej niż kiedykolwiek, że żyć rzeczywiście warto?

Te i tym podobne rozmyślania rozprószył Mobaric, jawiąc się u wejścia do mego namiotu. Zrodzony i wycho-

wany w niewolnictwie, jaskrawy ten okaz młodego murzyna nurzał się przez kilka miesięcy w dumnej samowiedzy wolności i jeszcze w słodszem poczuciu władzy. Jest sługą chrześcijanina. Chrześcijanie, na ogół, mogą być niewiernymi, lecz sypią dolarami za robotę i to tak za wykonaną, jak i za nie wykonaną. „Jego“ chrześcijanin daje mu jak najbielsze suknie, karminową czapkę i olśniewająco żółte pantofle, a nawet nastaje nań, by to wszystko nosił. Jatagan w błyszczącej pochwie zwisa na zielonej, jedwabnej taśmie z jego ramienia i aż się prosi, by go ująć. W skórzanej torbie u boku są srebrne i miedziane monety, talia zabrukanych hiszpańskich kart, tytoń i paczka ryżowych papierków z nazareńskiego wybrzeża do kręcenia papierosów. Otrzymuje pozwolenie odwiedzać „hummum“, a nawet jest na nie wysyłany dwa razy na tydzień. Może zadzierać głowę przy spotkaniu najbardziej awanturniczego z mirmidonów gubernatora; nie troszcząc się wcale o przedmioty przez właściciela zgubione, co bywa trąbą ogłaszane. Kupcy nazywają go „sir“ i „kaid“ Mobaric i aby pozyskać względy jego „przyjaciela“ ofiarują mu tytoń i herbatę, gdyż żaden Europejczyk niema służącego muzułmanina. Rozciągnięty u wejścia do mego mieszkania, jeżeli z całem oddaniem nie igra z dziećmi, bawi się rozmową z kawasami zagranicznych posłów.

Jakkolwiek wyniosły w traktowaniu żebraków i innych natrętów, to jednak przymusza się, by swoje znaczenie osłonić słodką uprzejmością, bo czyż nie wszczepiono mu w szeregu innych, wysoce moralnych, murzyńskich zasad, także i tej, która mówi:

„Prawdziwie szlachetny pogardza wynoszeniem się“.

„Przybył człowiek na koniu; chce się widzieć z Panem. Ma ze sobą owcę“.

Wyszczerzył zęby, przeczuwając nadprogramowe racye.

Murzynowi nigdy nie przyjdzie na myśl spytać nieznajomego gościa, kto on zacz, otóż i mój „Szczęsny“, gdyż tak opiewa jego imię, pobiegł zasięgnąć języka. Powrócił do namiotu jeszcze prędzej, niż zeń wyszedł, prawie bez tchu, oznajmiając, że przybysz to „tropiciel dzików“. I rzeczywiście, mój typowy tropiciel zsiadał właśnie z muskularnego, berberyjskiego źrebca. Mając za sobą owczarza, dźwigającego na barkach ogromnego barana, postąpił ku mnie elastycznym krokiem, zarzucił mi rękę na szyję i całując mię w ramię, wykrzyknął z oburzeniem:

„Jakimże wstydem okryłeś nas Pan? Czyż nie masz Pan tam pomieszkań — rzekł, wskazując w kieruku swego domostwa — że musisz tutaj rozbijać namioty?

Od kiedyż to, na Boga, zacząłeś mieć przyjaciół w tej dolinie? A może nasze oliwne gaje przestały się Panu podobać — a przybierając ton sarkastyczny — a może nasze łąki nie byłyby w stanie pomieścić Pańskiego namiotu? Yallah! Chodź Pan na właściwe miejsce, miasto przebywać z tymi synami grzechu. I dopiero po mej obietnicy, że przeniesiemy się nazajutrz do jego farmy, Idris raczył usiąść, tylko na to, by zaraz zerwać się i poprowadzić mię za rękę, bym podziwiał jego wierzchowca.

„Syn Abdy“, wyrzekł lakonicznie, jak gdyby sama wzmianka o tej rumaczej prowincyi była dostateczną gwarancyą rodowodu konia. Wskazał małe, nerwowe uszy, pogłaskał łukowaty kark, pogładził gibką przednią nogę, poklepał czarną plamę na biodrze, jedyną jasnokasztanowatą odznakę na jego maści, dodając: Nasze kobiety podziwiają taką łatkę, przynosi ona szczęście jeźdźcowi.

Szczególny rodzaj tego szczęścia ujawnił się w śmiechu Idrisa, równocześnie szczerym i chytrym, w którym ukazał na chwilę zęby, bardziej olśniewające, niż u jego leśnej i polnej braci — jeżeli w ogóle byłoby to możliwem.

„W cwale, czy w stępie“ — zacytowałem pierwszą część ulubionego przysłowia arabskich jeźdźców...

„Kasztan zawsze kasztanem“ — dopowiedział Idris. We wszystkiem, co się odnosi do tropienia zwierza, Idris jest wyznawcą starej szkoły. Ten, ktoby zamierzał z nim polować, musi zapomnieć o jadle i napoju i iść ślad w ślad za nim wśród południowego upału, lub bladych blasków księżyca, dopóty, dopóki ten demoniczny pogromca dzików ma nadzieję pozyskania zdobyczy. Żaden Sherlock Holmes nie ścigał zbrodniarza tak bezustannie, jak Idris następuje na pięty dzikowi. A trzeba napomknąć ciekawy szczegół, że przez cały dzień, gdy umysły nasze były wyłącznie zajęte dzikiem, nie wspomniano nigdy słowa „dzik“, lecz posługiwano się zaimkami „go“ i „on“.

Gdyśmy przybyli na miejsce spotkania, do granicy przyjemnej sadyby farmera, Idris zsuwa się z grzbietu jucznego muła, na którym prowadził nasz mały orszak przez falujący las i rzuciwszy bystrem, badawczem okiem na wszystkich członków wyprawy, zaczyna szybko zrzucać z siebie suknie, zdejmuje burnus, turban i kaftan, ściąga napiętki swych pantofli o szerokiej pięcie, podwiązuje pasem bawełnianą koszulę — jedyny swój strój, — przewiesza przez plecy rożek z prochem, waży na dłoni swą długą skałkówkę przez chwilę i pyta nas, czyśmy gotowi.

Uwiązane zwierzęta poruczyliśmy opiece kaida Mobarica, poczem zwróciliśmy się ku górze i rychło zaczęliśmy wspinać się po jej stromym brzegu, idąc ukośnie, w jednej linii. Idris prowadził, ja i „ćwiczony w koranie“, szliśmy, jako goście, tuż za nim. Tuzin lub więcej psów, wychudzonych nie do opisania, których ponury wygląd nie zdradza wcale zapalczywych sportowych instynktów, ani też podziwianej wytrwałości — goniło bez hałasu po karłowatych krzakach, między cyprysami, po obu stronach naszej linii.

Idris prawie nie otwierał ust, chyba, że rzucił krótkie słowo ulubieńcom, poważnemu chartowi i licznemi bliznami pokrytemu szkockiemu terrierowi. Prowadzi nas równym krokiem, robiąc około czterech mil na godzinę, ku wąskiemu płaskowzgórzu, tworzącemu pierwszy stopień góry. Tu zatrzymujemy się krótko, a młody wieśniak z „Haha“, który za nami postępował w charakterze myśliwego-rywala, zbliża się i wyłuszcza motyw towarzyszenia nam, podając, że chce naszemu gospodarzowi udzielić niektórych wskazówek co do tropienia.

Jakkolwiek w ubraniu ich niema ani krzty różnicy, to trudnoby było wyszukać dwa więcej odmienne rasowe typy.

Idris ma muskularne członki, ogniste oko i olśniewające zęby prawdziwego Baidawa, potomka zdobywców zachodniego kraju; w dobrze zbudowanych, silniejszych kształtach Alego, w jego swobodnych, elastycznych ruchach i prawie wojskowej postawie, masz prawdziwego syna atlaskich Berberyjczyków, jeszcze nie podbitych panów ogrodów Hesperyd.

Nie domyślając się zupełnie tego, przelotnie w myśli mej powstałego porównania — (którego zresztą choć w słowach wyrażonego, nie byłby żaden z nich zrozumiał), Idris uprzejmym grymasem zaprasza Alego do objęcia przewodnictwa, czemu jednak tenże z równą kurtoazyą odmawia. Gdy murzyni są uprzejmi, to uprzejmość ta jest roskoszną.

Idris przedsiębierze małą wycieczkę rekognoscyjną na prawo, Ali robi to samo na lewo a ja wnioskuję, że pra-

wdopodobnie ma jakąś wiadomość o tropach. Wszyscy wodzą oczami to za jednym, to za drugim znawcą a po kilku minutach Berberyjczyk podnosi rękę; następnie wskazuje na ziemię przed sobą. Skupiamy się wszyscy. Prócz przewodników nikt nic nie mówi a i oni odzywają się tylko szeptem.

„Właśnie przeszedł“ — zauważył Idris, nie dodając wcale o kogo chodzi.

„Przebiegł“ — zaznaczył Ali, obejmując okiem dwa sąsiednie tropy rapet.

Spojrzawszy w górę, Idris komunikuje dalsze spostrzeżenie:

„Wiatr się zmienił. Być może, że zmieni barłog. Ya Allah (Naprzód)“.

Teraz już łowy zaczęły się naprawdę. Nie spuszczając tropów z oka, Idris postępuje naprzód tym samym pewnym krokiem, co pierwej. Lecz przewodnik zmienił się nie do poznania; jest coś z drapieżnego ptaka w jego lekko podniesionych barkach, w podaniu naprzód ciała, w kurczowem ujęciu lufy. Uwzględniając braki w mej łowieckiej praktyce, rzuci tu i owdzie parę słów wyjaśniających, nigdy atoli nie przepuści przez usta słowa „dzik“.

„Możemy znaleść jego barłog w jednym z pobliskich parowów. Jeżeli tam go zaniepokoimy, przejdzie górę i będzie szukał innego“.

Przejdzie górę! O dobry Allahu!

Przygłuszony świst Alego zatrzymuje nas. Odkrył świeży trop, idący na wschód.

„Przecież nie polujemy na swojskie lochy i wieprze“, mówi pobłażliwie Idris, rzuciwszy tylko przelotne spojrzenie na tropy.

„Ya Allah!“

„Kiedy przeszedł nasz przyjaciel?“, pytam.

„Powiedziałbym, że brzaskiem. Przepędził noc, żerując na kukurydzianych polach, tam w dolinie, proszę spojrzeć, zwrócił się ku wschodowi i przestał iść truchtem. Jest już blisko domu“.

Trochę później ten krwiożerczy tygrys w ludzkiem ciele, który odgaduje z wyglądu rapet ruchy swej niewidzianej zdobyczy tak łatwo, że jego wnioski zdają się być wypływem czarów, był przez chwilę w błędzie, gdyż trop znikł.

Rozglądając się przez chwilę naokoło, wskazuje na bezlistny pień karłowatego drzewa, ścięty świeżo przez jakiegoś węglarza; nakoniec powiada:

„Jest tam“.

Oczekiwałem ukazania się dzika, to też byłem gotów do strzału. Lecz Idris poprowadził mię do pniaka i podniósł z ziemi kilka kosmyków sierci.

„Ocierał się, nic więcej, Ya-Allah!“

Polowanie skierowało się obecnie ku środkowi gęsto zalesionego parowu, odległemu więcej niż o połowę drogi od skalistego stoku góry. Byliśmy około tysiąc pięćset stóp nad poziomem morza. Za nami rozciągała się luba kraina „Draa“, wygrzewając się w promieniach wiosennego słońca, śmiejąca się przestrzeń, wypełniona dolinami i pagórkami, wśród której jasne barwy dojrzewającego zboża odcinają się od ciemniejszych konturów rozległych, oliwnych gajów; wszystko to poprzerzynane tu i ówdzie ścieżkami czerwonawemi, porobionemi ze względu na przyszłą siejbę. Tu niekształtny, lecz warowny dom farmera, tam wspaniałe mury świętej kaplicy; wszystko zaś ujęte w ramy odległego znacznie, posępnego płaskowzgórza „Naknaffa“ ku południu zaś wyniosłych grzbietów „Mtoga“ i połyskujących szczytów śniegiem pokrytego Atlasu.

Instynkt mówił mi, że tuż, tuż napotkamy zwierzynę. Gęste krzaki jakby były stworzone na jej siestę. Na skinienie Idrisa szliśmy ostrożnie w otwartym szyku, każdy myśliwy w pewnem oddaleniu od drugiego, podczas gdy psy rozbiegały się, jak to jest ich zwyczajem w podobnych okolicznościach. Licząc dokładnie, pochód ten mógł trwać około dwadzieścia minut.

Wtem zaszczekał pies, który nas wyprzedził o ćwiartkę mili. Znaczenie tego sygnału nie ulegało wątpliwości.

Jeszcze jeden poszczek a wszyscy rzucają się co tchu naprzód, psy zaś wyprzedzają myśliwych i za chwilę żółta zgraja osaczyła nieszczęsnego sułtana lasów pod dzikim jałowcem. Trzy psy uczynił już niezdolnemi do walki, wypuściwszy z nich przeklętemi szablami bebechy.

Gdy mądre psy ujrzały pierwszą broń — rozumie się w ręku Idrisa — rozskoczyły się, by umożebnić strzał. Pali, lecz bez widocznego skutku. Psy skupiają się znowu. Dzik rzuca się rozpaczliwie na prawo, lecz go zatrzymują; więc zdając sobie sprawę z sytuacyi, wystawiającej grzbiet jego na pociski z 13 strzelb, wraca się i pogrąża w legowisku, ścigany przez roznamiętnioną zgraję.

Trzecia detonacya z windchester'a jeszcze nie przebrzmiała echem w parowach, płosząc wszystkie dziki na stoku góry, gdy drugi odyniec wpadł między psy. Połowa z nich ściga nowego zwierza tak zaciekle, że cała dywizya nie byłaby w stanie ich powstrzymać, a rezultatem pościgu jest, że oba dziki przeszły do innego rejonu. Nie pozostaje nic innego, jak oczekiwać powrotu zgrai i pogrzebać nieżywego psa. Z uroczystością dostrojoną do chwili, nasz przewodnik bierze krótką gałąź, by przedstawić strasznego wroga sportsmana, Ali zaś odgrzebuje ziemię.

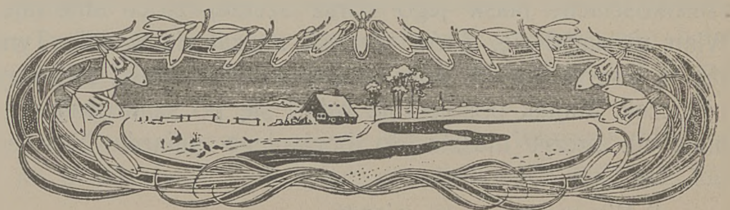
Układają „jina“ w dole, przysypują go piaskiem, przydeptują z wierzchu, a całą tę akcyę wyprawiania psa na wieczny spoczynek załatwiają z jakimś, krew ścinającym pośpiechem, w jakimś posępnym nastroju.

Po tych ceremoniach ruszyliśmy dalej nużąco powolnym pochodem po stromych ścieżkach, prowadzących na szczyt góry.

Na szczycie tym zatrzymaliśmy się naprzeciw świątyni Abu Jakuba — budowy, widzialnej z terasowatych dachów Mogadoru, a „ćwiczony w koranie“ zaproponował mały posiłek prowiantami, ulokowanymi w tym celu w torbach kilku myśliwych.

Ja w niegodny sposób przystaję na propozycyę — rozumie się tylko we własnem imieniu — a Idris stara się uprzejmie nie okazać swej niechęci. Ali i Idris postanawiają polować dalej, co wykonali rzeczywiście z tym wynikiem, że około zachodu słońca złączyli się z nami, idąc na czele tryumfalnego pochodu, na końcu którego czterej silni naganiacze uginali się pod ciężarem dużego dzika, zwisającego z dwóch cyprysowych gałęzi. Mierzył on od ryja do ogona sześć i pół „spans“ (span = 9 cali) i musiał ważyć nad trzy centnary. Na pytanie, kto go zastrzelił, Idris wskazał na niewinnie wyglądający otwór z pod łopatki leśnego władcy.

„W naszych argańskich lasach są daleko większe“, wtrącił Ali.



Polowanie na wieloryby.

KARTKA Z PODRÓŻY NA DALEKI WSCHÓD

przez

Wacława Sieroszewskiego.

Pan W. Sieroszewski w świeżo wydanej przez siebie książce p. t. „Na daleki Wschód“, opisał w jednym z ustępów polowanie na wieloryby. Podajemy tych kilka zajmujących kartek dosłownie:

Wschodnie pobrzeże Korei, Szimpo.

Bursztynowy świt już rozedniał nad zatoką okrągłą i cichą, jak jezioro. Ale gwiazdy w niebiosach jeszcze nie pobladły; na południu płonął wspaniały Oryon, na północy Wielka Niedźwiedzica ogonem prawie nurzała się w morzu, Wenus, różowa od blasku dalekiego słońca, gorzała jak rubin nad bladnącym widokręgiem.

Opuściliśmy tłumnie wielki żelazny parowiec, który był właściwie wielką kuchnią do gotowania wielorybów, i przewiezieni małą łodzią parową, wsiedliśmy na statek myśliwski, norweskiej roboty, 96 stóp zaledwie długi i 18 szeroki, zwięzły, krępy, mocny i zwrotny. Nie posiadał wielkiej szybkości, robił 11 węzłów (11 mil morskich) [1]) na godzinę, lecz dla statków tych nietyle ważną jest szybkość biegu, ile sprawność i moc maszyny, wciąż zmieniającej tempo pracy i często gwałtownie szarpanej tam i napowrót.

W godzinę po wyruszeniu już byliśmy w otwartem morzu i płynęliśmy wprost na wschód, gdzie z bladych fal w złotym rozświcie wynurzała się krawędź słońca, jak wzgórek purpurowego zarzewia. Chwilę jeszcze, i ogromna ognista kula, podbita przez refrakcyę, odskoczyła od widnokręgu, jak piłka, błysła i rozsypała płachtę złotych iskier na majestatycznie kołyszących się wodach.

Dokoła latały białe czajki o załamanych skrzydłach, czarna ostrodzioba wrona morska przyciągnęła wysoko od morza ku opuszczonemu przez nas lądowi.

W prawo o parę stajań płynął drugi parowiec wielorybniczy, należący do tego samego Towarzystwa, a na widnokręgu mgliły się lekkie obłoczki dymu z „norweżczyków“, którzy przez noc drejfowali w morzu, a teraz już polowali.

Niezadługo byliśmy w tem samem miejscu, gdzie wczoraj zabiliśmy wielkiego pręgowanego wieloryba.

— Wytrysk — wyrzekł spokojnie gruby sternik, Łotysz nadbaltycki.

— Gdzie?

Nim odszukaliśmy lornetę, już znikł, a gołem okiem nikt nie mógł zmierzyć się ze starym „wilkiem północnym“.

Statek zwolnił biegu. Stado kaczek poderwało się z pod nas i sznurem pociągnęło ku spiętrzonej, różowo mglistej Korei, przeleciał rój drobnych morskich ptaszków, po których wielorybnicy poznają pastwiska wielorybów. Słońce chyżo szybowało w górę, jak zwykle w nizkich szerokościach; blask jego coraz szerzej złocił sine fale. Wiatr wzmagał się. Znów wytrysk ukazał się w dali. Tym razem wszyscyśmy w porę dostrzegli jego biały, zwiewny obłoczek. Majtek pośpiesznie wdarł się po sznurowej drabinie na szczyt masztu do bocianiego gniazda. Strzelec podszedł do stojącej na dziobie okrętu armaty, nabitej harpunem, i oparł się o nią.

Zmieniamy kierunek, mamy teraz wiatr z boku.

„Pełny“ — mówi sternik maszyniście przez tubę.

Statek zaczyna drgać, jak w ataku febrycznym. Bałwany ciskają się nań, zalewają pianą i mocno kołyszą. Pędzimy im na przełaj ku spostrzeżonym już dwukrotnie wytryskom.

Z roztańczonych fal znowu bucha wytrysk, już zupełnie blizko. Wtem ogromny bałwan zalewa przód statku, pokrywa strzelca, armatę i zmywa z tarczy zwiniętą w kręgi linę harpunu. Wezwani sygnałem majtkowie biegną po zachlapanym, stającym co chwila dęba pokładzie, aby ją nanowo ułożyć. Strzelec niedbale strzepuje wodę z czapki i kurtki.

— Bardzo rozkołysało bałwany! — mówi sternik. — Źle będzie strzelać!

Nie zmieniamy jednak kierunku i, wspinając się z fali na falę, ścigamy uchodzący przed nami coraz dalej i dalej wytrysk. Znikł, nie widać go nigdzie. Wszyscy wpatrujemy się z natężeniem w siny horyzont, kołyszący się, jak rzucona na wiatr tkanina. I wszędzie bieleją czuby bałwanów. Wiatr zrywa z niektórych pianę i rzuca wysoko do góry; łatwo pomylić się i wziąć je za słupy wody, wyrzucanej przez wieloryby. Wśród tych pian wiją się gromadnie czajki białe, jak piany. Morze granatowe ciska się gniewnie pod niebem, drażniąco jasnem, przesłonecznionem, bez śladu chmur.

— Nie będzie pociechy! — mruczy sternik. — Wielorybów ani śladu, gdzieś się pochowały.

Maszyna ledwie drga. Statek z wytkniętem ostrzem harpuna, niby orzeł w chmurach, kołuje się i nurza wśród skotłowanych odmętów, wypatrując zdobyczy. Chwile wloką się długo, jak godziny. Na mostku cisza.

— Pilnuj! Na prawo! — rozlega się z bocianiego gniazda.

— Pilnuj! Z tyłu! Blizko! — powtarza ten sam głos.

Sternik aż się do podłogi nachylił, obracając koło rudla, wśród pian, wycia wiatru i chlustania bałwanów. Statek, jak fryga obrócił się prawie na miejscu.

— Pełny! — grzmi przez tubę do maszyn.

Wszystko drga w szalonym pędzie...

„Fale z drogi, wichry z drogi...“

Z niepokojem śledzimy trzy ogromne ssaki, kolejno wynurzające się z wody i ciskające wysoko ku niebu białe fontanny. Brunatne ich grzbiety błyszczą na słońcu, łącząc się z falami w potoczystych liniach.

— Na dno! — mówi ze zniechęceniem kapitan, gdy te potężne grzbiety, opisawszy w powietrzu łuk mocno wygięty, mignęły rozdwojonymi ogonami nad wodą i znikły.

— Jeszcze będzie jeden! — ostrzega sternik. — Nilson, pilnuj!... — woła na strzelca.

Ten już dawno ma się na baczności, nogą odemknął śrubę, tamującą wahadłowe ruchy działa, prawą ręką ujął drewnianą rękojeść, gdzie znajduje się kurek. Ogromny słup rozpylonej wody wzniósł się tuż przed dziobem statku, poczem wypłynął ciemny, błyszczący i wielki, jak mielizna, grzbiet.

Strzelec pochylony nad działem wciąż czekał. Wieloryb był zbyt, według niego, daleko; strzelać do niego można harpunem zaledwie na 20 sążni. Jeszcze kilka silnych obrotów śruby i statek go dopadnie... Lecz potwór też nas dostrzegł i zapadł się z sapnięciem, podobnem do łoskotu staczającej się fali.

[1]) Mila morska = $1^3/_4$ wiorsty.

— Stop, maszyna! krzyczy w tubę sternik.

— Proszę do kajuty na śniadanie!... mamy czas... Nie prędko teraz wypłynie!... — zaprasza uprzejmie kapitan.

Po śniadaniu to samo. Statek kołuje się wśród sinych, spiętrzonych wód; zalewany przez czuby ich pian i wodną kurzawę, szarpany przez wicher, sili się wciąż, aby wśród tych zawrotów nie stracić z oczu stada ściganych wielorybów. Widać ich dużo na widnokręgu; białe obłoczki wytrysków pękają to tu, to tam, jak małe wulkany. Lecz lepiej ścigać ciągle to samo stado, i sternik bacznie śledzi je wśród krzyżujących się wirów.

Gdy znikają, okręt zwalnia biegu, i zataczając się, lub obracając na miejscu, czeka i wypatruje, gdzie się znowu ukażą. Niekiedy sternik odgaduje drogę stworzeń z kierunku ich zapadających się grzbietów, z kolei, w jakiej płyną ze sobą, w jakiej rzucają wytryski. Wtedy okręt zatacza półkole i mknie całą siłą pary na miejsce domniemanego ukazania się zdobyczy. Ale wieloryby mogą rozwijać ogromną szybkość ruchów i mogą zostawać pod wodą nawet pół godziny, a przez pół godziny robią z łatwością 10 mil morskich (dwie i pół mili naszej). Następnie często już pod wodą zmieniają kierunek. Stąd pochodzi, że nieraz ukazują się z zupełnie innej strony, niż przypuszczają najwytrawniejsi sternicy.

— Dziś szczególnie trudno je śledzić. Grzbiety plączą się z falami — usprawiedliwiał się sternik.

Wiatr wzmagał się, stawał porywczym i zmiennym. Na niebie zjawiły się wysokie, pierzaste obłoki i utworzyły tam piękny mglisty wachlarz z zawiniętymi spiralnie końcami.

— Zwiastuny tajfunu. Jutro, najdalej pojutrze, będzie burza!

— Ale dziś czy zdążymy jeszcze co upolować?

Kapitan odwrócił się w milczeniu.

— Nie należy nawet pytać się o to marynarzy! — ostrzegł mię cicho mój towarzysz.

Fale wielkie, ciężkie, przykre, tłukły się o okręt, który nagle jakby stracił zwinność. Słona wodna kurzawa, zdmuchiwana przez wiatr, dolatywała aż na mostek kapitana. Czapka moja i notes pokryły się całe perlistą rosą, wicher nie pozwalał wysunąć twarzy z za żaglowej osłony u burty. Od szumu i kołysania się statku w głowie mi się zlekka mącić zaczęło, a towarzysze moi, wytrawni marynarze, niezdolnymi okazali się w tym razie do współczucia.

Nic więc nie mówiąc, spuściłem się do kajuty, aby się na chwilkę położyć. Spokój i ciepła czapka na głowie — to najlepszy środek na morską chorobę. Wyciągnąłem się na posłaniu skołatany i znużony, gdyż ubiegłej nocy nie spałem prawie: wywoływałem zdjęcia fotograficzne, zrobione na morzu. Ale usnąć nie mogłem, wszystko wkoło mnie brzęczało i latało, stukał jakiś obluzowany luminator, a przez tubę wystającą nad łóżkiem kapitana dolatywała z maszynowego przedziału smętna, monotonna piosenka palaczów i urywane rozkazy:

— Pełny!... Stop!.... Wolno!...

Wkrótce i moi towarzysze zeszli z góry do jadalni, gdzie były w porządku przymocowane kołeczkami do stołu talerze, szklanki, butelki, widelce i noże.

Zanim jednak zabraliśmy się do jedzenia, mocne gwizdnięcie wywołało nas na pokład.

— Wieloryb tuż!... — rzekł gburowato sternik.

Nim skończył, morze rozwarło się z łoskotem, słup wody wyleciał wysoko i brunatny grzbiet wynurzył się z wodnych skrętów.

Płynął ku nam na ukos wielki jak rafa. Strzelec nachylił się do celu i ścigał go ostrzem harpuna. Potwór zwolna zataczał ponad wodą łuk, dążąc w głębiny; już mała jego pletwa koło ogona błysnęła w powietrzu...

— Spóźnił się niedołęga! — mruknął sternik.

Jednocześnie w poświstach wiatru buchnął strzał, i czarna błyskawica rozwijającego się sznura przecięła blask morza. Dym prochu zakrył na chwilę pocisk i ofiarę. Strzelec podniósł pytająco do góry głowę.

— W wodę... odpowiedział mu dozór.

Zmieszany Nilson włożył ręce do kieszeni i odszedł od armaty, po chwili jednak opamiętał się i wrócił pośpiesznie. Majtkowie i sternik już biegli z hałasem, aby natychmiast nabić wystrzelone działo.

— Ostrożnie, bydlęta! oczy chcecie mi wybić? — krzyczał gniewnie sternik na marynarzy, ciągnących linę.

— Bomba nie pękła! Ostrożnie!

Zarzucili linkę na stukający o burtę długi, żelazny pocisk, na którego końcu przyśrubowana była wielka ostra grusza z surowca, zawierająca dwa funty prochu i zapał piorunujący, przywiązany do skrzydła harpunu. Gdy skrzydła te, szarpnięte przez porażone ciało, otwierają się jak haki zębate, drucik przymocowany przetrze mieszaninę zapalną, bomba pęka i czyni wewnątrz ranionego zwierzęcia straszne spustoszenia.

Chociaż fale wciąż zalewały pracujących, działo szybko zostało nabite i znów żądło jego zaczęło pilnie szukać ofiary wśród odmętów. Lecz wystraszone olbrzymy znikły. I długo kołysaliśmy się i szybowali międzą krętymi bałwanami, nim dostrzegliśmy na widnokręgu nęcące wytryski.

W pościgu za nimi ubiegła i druga połowa dnia. Słońce nizko opadło, do zachodu została najwyżej godzina. Zniechęceni ludzie już pracowali niemrawo. Strzelec z rękoma w kieszeniach, choć armaty nie opuszczał, patrzał gdzieś w bok niedbale.

Jedynie sternik zawzięcie kręcił kołem i parowcem, oraz krzyczał jak przedtem przez tubę:

— Pełny!... Wolno!... Stop!... Nazad!...

Zato wieloryby jakby poczuły, że mogą mniej sobie nas ważyć, krążyły coraz bliżej i coraz dłużej pozostawały na ciemniejącej powierzchni oceanu. Potworne łuki ich grzbietów wydawały się jeszcze większymi w ukośnych promieniach zachodu. Szczególnie wyzywająco zachowywała się trójka brunatnych olbrzymów. Raz wynurzyły się z boku statku tak blizko, że plusk ich fontan i łoskot sapania wszystkich poruszył. To ich zgubiło. W myśliwych ożył znowu zapał, i zaczęło się wściekłe polowanie. Wieloryby, ośmielone zapadającym zmrokiem, dworowały sobie z nas, a może, przyzwyczajone łączyć się w gromady, brały też ciemny kadłub naszego okrętu za żołądek jednego ze swych współbraci. Dość, że sternikowi udało się kilkakrotnie dopaść do nich w chwili wynurzania się i przeciąć im drogę. Strzelec na chwilę nie wypuszczał z dłoni rękojeści armaty. Ale i noc zapadła chyżo, i słońce już tykało widnokręgu.

Wreszcie padł strzał...

— Hurra! Trafiony! trafiony!

Dziób parostatku mocno się pochylił, przyciśnięty potężnie do wody. Lina, nawiązana do sznura harpunu, z wężowym szelestem rozwijała się z metalowego bębna i snuła dygocąc przez pokład i łożysko u dzióba w zieloną głębinę.

Tam szybował raniony wieloryb. Wszyscy zbiegli się na przód statku i pochyleni przyglądali się dygocącej linie.

Statek, choć szedł całą mocą pary w tył, sunął jednak naprzód z szybkością 6 węzłów (6 mil na godzinę), wleczony przez morskiego tytana.

— Już wybrał 120 sążni!... — zauważył kapitan.

— Niech zahamują linę na chwilę! — rozkazał strzelec, próbując napięcia sznura nogą.

Naciśnięta lewarem lina wolniej zaczęła się z bębna odwijać, ale rychło ją trzeba było popuścić, gdyż idące z głębi szarpnięcia były jeszcze za silne i mogły albo linę oberwać, albo statek uszkodzić. Nareszcie po długiej gonitwie napięcie liny zwolniało i szybko przybierać ona zaczęła kierunek poziomy.

— Lada chwila wypłynie!

Istotnie nie minęło i pięć minut, gdy o ćwierć wiorsty na przodzie statku zakotłowały się fale, buchnęła fontanna, i z zakrwawionych pian ukazał się wieloryb z tkwiącem w grzbiecie żelazem.

Spuszczona ze statku mała szalupa z dwoma wioślarzami, ślizgając się jak drobna łupina wśród wielkich wodnych pagórków, biegła ku zdobyczy. Pośrodku szalupy stał sternik z niezmiernie długą dzidą, gotową do uderzeń, zawieszoną poziomo na ramieniu. Wieloryb spostrzegł ich i dał nurka, ale osłabły, już długo pod wodą wytrzymać nie był zdolny i znów po chwili wypłynął, miotając w górę wodę i krew. Morze wkoło niego zabarwiło się purpurowo. Łódź dopadła go w mgnieniu oka, i długa dzida sternika, pchnięta mocno, zagłębiła się jak igła w olbrzymie ciało, szukając serca.

Ogromne, ale łagodne stworzenie ciskało się szalenie od bolów, które je zmysłów pozbawiały, tłukło potężnym ogonem po wodzie, rzucało fontanny, rozwierało szeroko paszczę, ale widocznie nie pojmowało, gdzie szukać nieprzyjaciela i co robić, aby się od niego uwolnić. Łódź skakała do koła niego, jak drobny listek, lecz nie uchodziła, i okropne, zimne żądło z ręki sternika raz w raz zapuszczało się we wnętrzności ofiary. W podobny sposób męczyły wieloryba jedynie czasem staje rekinów, ale od nich mógł uciec, nawet gdy zdążyły urwać mu pletwę lub wypruć połać sadła. Od tych nowych, nieznanych mu wcale stworzeń biedny potwór uciec nie mógł, coś go trzymało i sprawiało ból tak szalony, że wolał już krążyć na wodzie i poddawać się przejmującym ukłuciom, niż znowu uchodzić w głębię i szarpać obolałe trzewia.

Nareszcie dzida sternika sięgnęła mu serca. Książę morza wspiął się na falach i runął z łoskotem w odmęty.

Łódź szybko uciekała do statku.

Słońce zagasło, złoty zmierzch muskał spienione bałwany, na których już spokojnie kołysało się ogromne, podłużne ciało, błyskając wśród pian atłasowo białem podbrzuszem i ostremi pletwami, wielkiemi, jak uszy mamuta.

Na statku szybko warkotał bęben, ciągnąc zdobycz na linie. Trzeba było się śpieszyć, gdyż czasami zabity wieloryb tonie i trudno go wydobyć. W dodatku wzburzone fale mogły przy lada niezręczności urwać linę lub obluzować harpun i... zabrać zdobycz.

— Wieloryb wtedy jest nasz, kiedy w kotle! — rzekł właściciel parowca. — Nawet podwiązany u statku urywa się na wzburzonem morzu i idzie na dno. Każdy z nich przecież waży tyle, co stado wołów: siedmdziesiąt sześć tysięcy funtów tłuszczu i mięsa i dziesięć tysięcy funtów kości. Cały, panie, majątek! W zimie, kiedy można świeże jego mięso przewieźć do Japonii, sprzedajemy go za 2000 rubli. W lecie, kiedy głównie na tran go się przetapia, dostajemy zaledwie 1200 rubli za sztukę. Mięso wtedy i kości suszymy i mielemy na kompost, to też cena niezła, ale gorsza niż za świeże lub solone mięso. Za świeże mięso Japończycy chętnie płacą w Nagasaki 10—12 kop. za funt, jak za wołowinę. Pociętego wieloryba składamy w kosze i stawiamy na pokładzie w przewiewnem miejscu. Wiatry w zimie wieją chłodne, i w ciągu dwóch dni przejazdu stąd do Japonii mięso się nie psuje. Mięso jest smaczne, podobne smakiem do wieprzowiny. Na targach japońskich bywa w mgnieniu oka rozchwytywane. Interes byłby dobry, gdyby zawsze można odgadnąć, gdzie te szelmy wypłyną. Ale nieraz po kilku dniach upędzania się zaledwie jednego uda się złapać, a wydatki na utrzymanie statków, załogi, urządzenie kuchni pływającej, przenoszą z górą 1000 rubli dziennie. Prawda, że bywają dni, kiedy dwa nasze statki myśliwskie złowią trzy, nawet cztery wieloryby, albo złapią „sinego“ wieloryba, który za cztery starczy i daje za 4000 rubli towaru, ale to zdarza się rzadko. Zwykle liczyć można zaledwie na jedną lub dwie sztuki dziennie. Wieloryby tutejsze są o wiele mniejsze od północnych, których wartość dochodzi do 20.000 rubli, ale zato wciąż je łowić można. Polowanie trwa rok cały, z przerwami, gdy szaleją burze lub śnieżne zamieci.

— Czyż tu bywają śnieżne zamieci?

— Panie, tu w zimie na morzu nieraz tak zimno, jak w Syberyi; liny marzną, że rozwijać się nie chcą, a fala tak samo płucze ludzi, jak dziś. Cóż robić?... Ciężko, ale zimowa zdobycz cenniejsza, bo ją sprzedać można łatwiej i z większą korzyścią...

W czasie naszej gawędy przyciągnięto wieloryba do parowca i przytroczono go na łańcuchach za ogon do dzioba statku, który mocno chyląc się na bok pod ciężarem zdobyczy, ruszył wśród ciemnych, ryczących bałwanów ku niewidzialnemu lądowi.

Jakim cudem umiał kapitan znaleźć drogę w tych taczających się wodach, koło raf i skalistych wysepek, w ciemnościach bez majaków i morskich latarni? — pozostało dla mnie tajemnicą...

Stojąc na mostku kapitana, wpatrywałem się w huczące otchłanie, które znowu wściekle na nas napadły, jakby mszcząc się za zabrane im dziecię. Biały kadłub tego dziecięcia tak wielkiego, że gdyby stanął na ogonie, z łatwością patrzałby na drugie piętro, wlókł się obok statku, mało co mniejszego. Wyglądaliśmy jak mała czarna mrówka, ciągnąca dużą białą mszycę.

Parowiec ciężko dyszał, walcząc z wiatrem, z prądami i z tym wielkim ciężarem. Posuwaliśmy się wolno. Aby czas skrócić, gadaliśmy o wielorybach.

Okazało się, że o życiu ich wiemy bardzo mało. Pewnem jest jedynie, że żywią się drobnymi mięczakami i że są jedyną wyborną maszyną do przerabiania tych drobnoustrojów na cenne dla człowieka tłuszcze, mięso i fiszbiny. Te fiszbiny są to właściwie filtry, rodzaj wąsów osadzonych w paszczy, przez które wieloryb przepuszcza nabraną w siebie wodę, zacisnąwszy szczęki, aby przecedzić schwytane wraz z wodą mięczaki. Wody on wcale przez nozdrza nie wyrzuca, a wytryski pochodzą z wydmuchiwanego przez wodę powietrza, które wyrzuca falę do góry na 15 nieraz sążni wysoko.

Ten ogromny ssak, łagodny i prześladowany, mogący z trudnością przełknąć śledzia i niezdolny nikomu zrobić krzywdy, z wyjątkiem marnych mięczaków, jest jeszcze dość powszechny w wodach koreańskich i dalej na Wschodzie i Północy. Barbarzyńskie jednak upędzanie się za nim czło-

wieka grozi mu rychłą zagładą. Ponieważ niewiadome są ani okresy ciąży i porodu, ani miejsca ich przebywania, nie wypracowano do tej pory żadnych prawideł, ograniczających polowanie na wieloryby. Wielorybnicy bez wielkiej dla siebie korzyści zabijają cielne matki. Widziałem samki z mlekiem w piersiach.

Wieloryby są bardzo schludne, mają czystą, cienką, delikatną skórę, bez śladu szlamu. Ciało mają zgrabne, cygarowate, zakończone cienkim, wachlarzowatym, potężnym ogonem.

Wyznaję, że było mi żal tych wielkich, milczących stworzeń, które karmią się jak my piersią matczyną. I wolałbym, aby z czasem człowiek nie mordował ich, lecz pasł na lazurowych toniach, korzystając z ich nabiału, jak od stad lądowych.

Upłynęły ze dwie godziny, nim czarny pas górzystego lądu wyraźnie zarysował się na nocnem niebie, lecz niepodobna jeszcze było dostrzedz żadnych szczegółów; chmury zasnuły gwiazdy i zmrok rozświecały jedynie piany fosforyzujących fal. Ale od tego dziwacznego blasku zmrok powietrza wydawał się jeszcze głębszym.

Na szczęście, w zatoce oczekiwano nas, i smugi elektrycznego reflektora krążyły po okolicy, jak skrzydła świetlanego wiatraka, strzelały wysoko w powietrze lub śmigały po morzu, wskazując nam drogę.

W tajemniczem, sinawem ich świetle wyłaniały się nagle to nagie, dalekie skały, spękane i porosłe krzewami, to płachty hasających, wrzących pian morskich, to skłębione chmury, zawisłe w niebiosach.

Mała czerwona gwiazdka przepłynęła koło nas, i wiatr przyniósł odgłosy smutnej piosenki koreańskich wioślarzy. Spóźnieni, zaskoczeni przez burzę rybacy wracali do domu.

KRONIKA.

Obłąkany głuszec. 18. kwietnia b. r. mieszkańcy Samokowa, miasteczka w Bułgaryi, byli świadkami ciekawego zdarzenia. Oto z pobliskich gór „Rhodope" przyleciał głuszec, siadł na placu targowym i rzucał się na przechodzących tamtędy ludzi. Wkrótce został schwytany i ubezwładniony i byłby został zabitym przez amatorów pieczystego, gdyby tamtejszy starosta nie był się o wypadku tym dowiedział i na ratunek szaleńcowi nie przybył, a uczynił to natychmiast, wiedząc, że książę troskliwą te ptaki otacza opieką, a ten schwytany mógł pochodzić tylko z otaczających książęcych rewirów. Starosta ptaka odesłał do książęcego nadleśnictwa w rewirze Tehamkowia, w którym jest bardzo dużo jeleni, danieli i około 20 głuszców właśnie w tym czasie tokowało. Głuszca tego umieszczono na razie w pokoju, gdzie go przez dwa dni więziono i pączkami jodłowymi żywiono. Zachowywał się zupełnie spokojnie; przyprowadzono go przed właśnie na toki przybyłego księcia. Książę naśladował przy nim głos tokującego głuszca, na co więzień w tej chwili odpowiadać zaczął. Na trzeci dzień ptak posmutniał i jeść nie chciał. Książę kazał go wypuścić. Ptak pobiegł natychmiast w krzaki, gdzie pączki objadać zaczął, a po chwili do lotu się zerwał, znikł wkrótce w pobliskich wzgórzach i więcej go już nie widziano. Widocznie szał miłosny pozbawił ptaka na kilka dni zmysłów.

ODEZWA,

Uprasza się P. T. Członków, którzy dotychczas wkładek za lata 1903 i 1904 nie uiścili, by je przekazami, przesłanymi w lipcu, nadesłali i oszczędzili tym sposobem Zarządowi Towarzystwa wysyłania urgensów.

ADMINISTRACYA.

Drobne ogłoszenia.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**